

PIOTR ZAREMBA

Czy nasza proukraińska polityka dziś to kwestia nadzwyczajnej czułości polskiej polityków?
Albo ich ślepych antyrosyjskich resentymentów? Nie – to kwestia naszego najlepiej pojmowanego interesu narodowego.

CO NAM ZASŁANIA WOŁYŃ

Nie milkną echa rocznicy rzezi wołyńskiej. Debata na jej temat wybuchała co roku, ale ta jest szczególna, nie tylko dlatego, że to rocznica 80. Przede wszystkim z powodu rozbudzonych polskich nadziei na jakiś gest Ukrainy i poczucia goryczy, że nie nastąpił.

Przed tygodniem pod wrażeniem zderzenia dwóch równoległych historii szczytu NATO w Wilnie i rocznicy napisałem tekst o cierpliwości procentującej po latach. Chodziło o relacje polsko-litewskie, pełne historycznych i współczesnych urazów, które jednak układają się dziś coraz lepiej, nie tylko na bazie wspólnych celów geopolitycznych. Władze w Wilnie zliberalizowały politykę wobec polskiej mniejszości, zaczęto szukać tego, co łączy, a nie dzieli, we wspólnej historii. Podkreślałem, że problem w stosunkach z Ukrainą jest inny, pęknięcie jawi się jako bardziej dogłębne. Ale szukałem w tym jakiejś nauki.

Wołyń poza mainstreamami

Nawet będąc amatorem wypełniania białych plam w polskiej historii, bardzo długo wiedziałem o rzezi niewiele. Zdarzenie to pojawiało się na stronach polskich opracowań historycznych, także tych najbardziej odważnych i niezależnych, jako niepewnie przywoływana dygresja.

Nie pasowało do żadnej z głównych narracji. Oficjalna historiografia peerelowska kładła nacisk na ludobójstwo niemieckie. Środowiska antykomunistyczne równoważyły to pamięcią o ludobójstwie sowieckiej Rosji z lat 1939–1941 i późniejszym zniewoleniu Polski przez Stalina. Na doświadczenia Polaków stamtąd, którzy ocalili, a na przykład stracili na Wołyniu rodziny, pozostawało niewiele miejsca.

Można powiedzieć, że tych doświadczeń nie szukał żaden z mainstreamów. Na przełomie epok Giedroyciowska wiara polskiej opozycji w sens pojednania z nową Ukrainą działała może nawet bardziej blokująco niż cenzura słabnącej ekipy Jaruzelskiego.

To kształtowało moje poglądy, a nawet bardziej odruchy, przez wiele lat. Wspominam sytuację z roku 2014, kiedy przyszło mi występować w telewizyjnym programie przy okazji starcia PO z PiS w Sejmie o to, jak nazwać tamte zdarzenia. PiS, jeszcze niedawno przedstawiany przez Platformę jako zbyt proukraiński, obstawał pod wpływem części swoich wyborców za pojęciem „ludobójstwo”. Partia Donalda Tuska wybrała słowne łamańce, pisząc w sejmowej uchwale o „czystce etnicznej noszącej znamiona ludobójstwa”.

Pamiętam wrażenie gołosłownej retoryki tych, którzy w telewizyjnym studiu optowali w imię współczesnych racji za wersją PO (a był wśród nich nawet brytyjski historyk Timothy Snyder). Po części wzywali, aby „nie jątrzyć”, po części szukali kruczków, bardziej nawet prawnych niż historycznych. Układ sił w programie spychał mnie na pozycję sojusznika ks. Tadeusza Isakowicza-Zalewskiego, zakrzykiwanego przez liberalnych gości. Ale w tej roli też nie czułem się komfortowo. Bo nadal wierzyłem w sens pojednania z dzisiejszą Ukrainą będącą coraz bardziej pod presją Rosji.

Powinienem napisać, że o wadze zdarzeń wołyńskich przekonały mnie beznamiętne, rzetelne książki i teksty profesora Grzegorza Motyki. Ale największą rolę odegrał tu film „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego z roku 2016. On także daleki był od bogoojczyźnianej egzaltacji. Nie ukrywał przedwojennych krzywd Ukraińców poniesionych z winy polskiego państwa. Losy tamtejszych Polaków, w lwiej części chłopów, pokazywał jako uniwersalną przypowieść o ludziach, po których kilka razy przejeżdża walec historii. A jednak był apelem o upamiętnienie, o solidarność z pomordowanymi. Ten apel do mnie przemówił. I nadal przemawia.

Część elit gotowa była z siebie ten ciężar z łatwością strząsnąć. Pamiętam żenującą dyskusję w studiu Onetu, w której brałem udział, gdzie polscy komentatorzy skłonni byli oceniać ten film w kategoriach niemal krzywdy wyrządzonej polskimi Ukraińcom. Pamiętam Bartłomieja Sienkiewicza, który w imieniu pisma „Newsweek” w zasadzie kwestionował sens oddzielnego zajmowania się tą historią. To przecież tylko jedna więcej konsekwencja drugiej wojny światowej. Przyjmując taką logikę, niczego nie warto omawiać ani upamiętniać „oddzielnie”.

Pamiętam swój szok, kiedy przypomniałem na Facebooku postać poety Zygmunta Rumla, który miał negocjować z Ukraińcami w imieniu polskiej Delegatury Rządu, a został przez nich okrutnie zamordowany. Scenę tę pokazał Smarzowski w „Wołyniu”. Mój wpis wywołał histerię kilku internautów, reprezentatywnych przedstawicieli polskiej inteligencji – notabene jeden był gorliwym zwolennikiem PiS, a drugi antyprawicowym liberałem. Żądali literalnie zapomnienia o wołyńskiej tragedii. Za zbliżeniem z Ukrainą użyli wyjątkowo obrzydliwego argumentu: ci, którzy tam zginęli, byli przeważnie chłopami, ich losy nie mają więc znaczenia dla polskiej kultury i tożsamości.

W pułapce symetrii

Akurat Rumel był inteligentem, choć chłopskiego pochodzenia, wśród ofiar byli też ziemianie, ale przecież nie o to chodzi. Narodowej wspólnoty nie wolno tak dzielić. Nie ma też chyba sensu przekonywanie, po co nam ta prawda – poza wszystkimi nadziejami na budowanie lepszej wzajemnej polityki polsko-ukraińskiej, ona jest wartością samoistną. Tym bardziej nie warto dowodzić, po co ekshumacje i godne pochówki.

I tu konieczny będzie rzut oka na współczesne głosy na temat Wołynia. Oczywiście, głupstw o gorszej, bo chłopskiej krwi nikt nie powtarza. Ale pokusa swoistego symetryzmu wraca raz za razem. Dobrym przykładem był tekst Arkadiusza Gruszczyńskiego „Tak gwałt się gwałtem odciska” w „Gazecie Wyborczej” z 11 lipca tego roku. Trochę się w nim znalazło refleksów przedwojennych konfliktów II Rzeczypospolitej z Ukraińcami. Punktem wyjścia są spisane w książce rozmowy z ukraińskim działaczem Piotrem Tymą.

„Ukraińcy, którzy angażowali się w sprawy swojego narodu, byli aresztowani, bici, a zdarzało się, że nawet zabijani. Polska władza burzyła cerkwie i skutecznie ograniczała działalność ukraińskich stowarzyszeń. Ci, którzy nie chcieli się podporządkować polskiej władzy, byli straszeni wywózkami. Według zachowanych dokumentów celem akcji z lat 1937–1938 miała być całkowita polonizacja obszarów na zachód od Bugu oraz maksymalne umocnienie polskich wpływów kulturowych na wschód od niego” – mówi Tyma. Plany te nie zostały zrealizowane ze względu na wybuch II wojny światowej”.

Nie wiem, o jakie dokumenty chodzi Tymie. Czy rzeczywiście wiemy, co by się stało, gdyby nie wojna? Kwestię tę widzę generalnie jako swoistą kwadraturę koła. Przypomnę, że przez chwilę Polska próbowała wspierać państwowe aspiracje Ukraińców, co zaowocowało wojną z Sowiecami w latach 1919–1921. Prawda, nigdy nie dotyczyły te prometejskie pomysły Galicji Wschodniej, ale też splot interesów narodowych polskich i ukraińskich był tam zbyt dramatyczny, żeby wskazywać klarowne rozwiązanie mogące zadowolić wszystkich.

Skądinąd w latach 1928–1938 to na Wołyniu wojewoda Henryk Józewski próbował zaspokajać aspiracje narodowe Ukraińców, pod warunkiem że zachowają lojalność państwową. Skończyło się zarzutami innych Polaków o podsycenie przez niego tendencji do odcierania tych ziem. Polskie państwo zareagowało tuż

przed wojną wzrostem nacjonalistycznego nacisku. Przybierał on czasem formę haniebną – by przypomnieć rozbieranie ukraińskich cerkwi.

Tyma przypomina też, a „GW” cytuje, powojenne losy Ukraińców przesiedlanych przez komunistyczny rząd na nowe polskie ziemie zachodnie jako potencjalnych zwolenników nacjonalistycznych partyzantów. No tak, tyle że ani przedwojennej mieszaniny kokietowania i represji, ani tych ostatnich zaszłości z czasów wojny nie sposób porównywać do akcji po części planowanego przez kierownictwo UON-UPA mordowania całych rodzin i wsi. O znęcaniu się, o torturach nie ma nawet co przypominać, jeśli się nie chce krzesać nowych uprzedzeń. Także odwetowe czy mające naturę samoobrony akcje polskiego podziemia nie dadzą się wpisać w schemat: „Polacy też”.

Były i polskie zbrodnie?

Ktoś, kto stawia jakieś znaki równości, po prostu kłamie. Przymienną skądinąd, że Piotr Tyma był krytykiem emitowania filmu „Wołyń”. Sam doczekał się już dawno rozmaitych form satysfakcji dla swoich rodaków, za wojskową akcją „Wisła” polski Senat złożony z solidarnościowców przeprosił już w roku 1990. Polakom jednak prawa do satysfakcji za coś, co było nieporównywalną z niczym zbrodnią, odmawia.

W symetryzacji celuje liberalna lewica, według której Polaków wolno obsadzać w jednej roli: winnych. Owszem, Sejm przyjął ponowną uchwałę o rzezi wołyńskiej jako „ludobójstwie” jednogłośnie. A jednak rozważa czy nie brakuje. W jakiej mierze wychodzą oni naprzeciw stereotypowi zdarzeń na Wołyniu propagowanemu przez historyków, a przede wszystkim polityków ukraińskich: skoro były wzajemne waśnie, to były i wzajemne zabójstwa.

Ale ta pokusa pojawia się w różnych miejscach i czasem ma naturę bardziej ogólną, nie dotyczącą tylko tamtych terenów. Oto felieton Kataryny w poprzednim „Plusie Minusie” jest zaskakującą zbitką dwóch argumentów. Zajmijmy się na razie pierwszym z nich: „Nikt lepiej niż my nie wie, jak się czuje ktoś, kto musi się przyznać – choćby przed samym sobą – że jego dumny naród ma w swojej historii także czarne karty i własne zbrodnie na sumieniu”.

Nie ma narodu bezgrzesznego. Nie są nim także Polacy. Zawsze pozostaje kwestią otwartą, za jakie czasy bić się w piersi. Czy zmieniające się obyczaje, cywilizacyjne standardy, każą się spowiadać, powiedzmy, z wiosek palonych podczas dawnych wojen. A dziś „Wyborcza” potrafi odkrywać okrucieństwo wojsk Jagiellońskich pod Grunwaldem.

Jeśli jednak Kataryna przywołuje polskie „czarne karty” i „zbrodnie” w kontekście Wołynia, powinna być precyzyjna. Czarne karty – tak, choćby przywoływane już przeze mnie akcje przeciw cerkwiom. Albo udział w rozbiórce Czechosłowacji, który Lech Kaczyński nazwał przed laty „grzechem”. Ale zbrodnie? Czy AK, organizacja o porównywalnym znaczeniu historycznym z UON-UPA, planowała lub zachęcała do mordowania jak leci jakiegось narodu? Czy w XX-wiecznej historii Polski znajdziemy taki przypadek?

Potępiając frajerów

Wtekście Kataryny następuje zarazem nagle dziwne przełamanie. Po konkluzji, że żaden naród nie pali się dobrowolnie do wyznawania własnych win, autorka uznaje wszakże brak ukraińskich przeprosin za winę polskiej strony.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Upamiętnić ofiary Wołynia? Oczywiście.
Ale zmuszać broniących się przed Rosją Ukraińców do przeprosin? Na zdjęciu 12. Marsz Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej, Warszawa, 11 lipca 2023 r.

„I jeśli dziś jestem rozczarowana tym, jak strona ukraińska potraktowała tę wyjątkową szansę godnego zamknięcia najtrudniejszej karty z naszej wspólnej historii, to chyba nawet bardziej rozczarowana jestem tym, że nie umieliśmy na niej wymusić nic więcej, mimo naszego ogromnego militarnego, finansowego i politycznego zaangażowania we wzajemne relacje przez ostatni rok. Jeżeli od partnera mającego u nas gigantyczny dług wdzięczności nie udało się wymóc nawet zgody na ekshumacje, o jednoznaczny i niezniuansowany uznaniu winy za zbrodnie nie wspominając, to okazaliśmy się – przepraszam – dyplomatycznymi frajerami...”

Pytanie o logikę tego wyводу. Kataryna uznaje opór każdego narodu przed wyznaniem własnych win za coś naturalnego. A jednak żąda od polskich władz poradzenia sobie z tą ponoć nieuchronną okolicznością. W jaki sposób? Padają magiczne słowa „wymusić”, „wymóc”. Jeśli ktoś uważa to za oczywiste, powinien przedstawić scenariusz takiego „wymuszania”.

Nie oczekuję tego typu podpowiedzi przykładowo od Eukasza Warzechy czy innych „realistów” z tygodnika „Do Rzeczy”. On także, przedstawiając linię polskiego rządu i prezydenta Dudy jako pasmo kompromitujących słabości i niemożności, nie nazywa rzeczy po imieniu. Ale ponieważ jest rzecznikiem ograniczenia wsparcia dla Ukrainy i realizmu wobec Rosji, można domniemywać, że oferuje nam kurs zbliżony do Viktora Orbána. Róbmy dla Kijowa jak najmniej, nie wychodźmy nigdy przed szereg. W takim przypadku sprawa rozliczenia Wołynia staje się jednym więcej argumentem, a może pretekstem, na rzecz odcinania się od Wołodymyra Zelenskigo.

Za to od ludzi, którzy deklarują generalne poparcie dla twardego wspierania Ukrainy, oczekiwałbym konkretności. Czy jedynym celem narzekania jest sposobność, żeby nazwać prezydenta Dudę i premiera Morawieckiego „frajerami”?

„Ktoś powie, że wojna to nie jest dobry moment na otwieranie niezabliźnionych ran, ale uważam, że lepszego nie było i nie będzie” – napisał w felietonie dla „Wprost” Marcin Makowski, autor, z którym najczęściej się zgadzam. On także narzeka na bezsilność rządzących Polską polityków. A ja mam wątpliwości także wobec jego wyjściowego założenia.

Próbowała używać podobnej argumentacji marszałek polskiego Sejmu Elżbieta Witek. Wypowiedzi i jej, i Mateusza Morawieckiego podczas samej warszawskiej uroczystości rocznicowej były stanowcze. Witek przekonywała, że właśnie dziś, kiedy Ukraińcy doznają rosyjskiego ludobójstwa, powinni lepiej niż kiedykolwiek rozumieć polskie racje. Powinni, można by rzec, doznać łaski empatii.

Czy Ukraińców da się zmusić?

Rzecz dotyczy jednak czegoś tak nieuchwytnego, jak odruchy moralne. Mogę sobie dla kontrastu wyobrazić przekonanie ukraińskiej elity, że właśnie ten czas nie jest dogodny dla zasadniczych deklaracji historycznych. Bo jak nagle, kiedy oskarża się Rosjan o zbrodnie wojenne, zmieniać się samemu w „naród sprawców”? Choćby wydarzeń sprzed 80 lat.

Oczywiście, na rozliczenia historyczne w sprawie Wołynia nigdy nie było dobrego czasu. Na przemian elity liberalne i prawicowe uznawały komfort destabilizowanych i borykających się z morzem trudności ukraińskich władz za ważniejszy. Czy przesadnie? Choćby dlatego, że w Polsce temat Wołynia rozdmuchiwali sojusznicy, a czasem agenci Moskwy.

Skądinąd tworzy to sytuację, w której na blokowaniu rozliczeń przez Kijów mogą skorzystać „realiści” spod znaku Konfederacji. Załóżmy, że władze Ukrainy swoją odmową podzielenia się wrażliwością z Polakami fundują problem nie tylko nam, ale i sobie. Bo Polska z potężną, mającą wpływ na rząd Konfederacją, żywiącą się antyukraińskim resentymentem, będzie dla nich mniej wygodna. To nadal nie tłumaczy, jak mamy Ukraińców „zmusić”, aby otrzeźwieli. Realizacją choćby namiastek polityki tejże Konfederacji?

Kataryna czy Makowski zakładają, jak rozumiem, że Duda z Morawieckim unikają tego tematu w dyplomatycznych rozmowach. Tego jednak, pomijając już ostatnie wołyńskie wzmoczenie PiS związane z kampanią wyborczą, nie da się dowieść.

Można argumentować, że wymuszone przeprosiny okazałyby się nie tylko nic niewarte moralnie, ale i mało wartościowe politycznie, bo żeby dojść do rzeczywistych zmian we wzajemnych relacjach, trzeba osiągnąć realną zmianę nastawienia ukraińskich elit. Ale poza wszystkim raz jeszcze spytam o narzędzia „zmuszania”.

Czy nasza proukraińska polityka dziś to kwestia nadzwyczajnej czułości polskiej polityki? Albo ich ślepych antyrosyjskich resentymentów? Ja odpowiadam, że to kwestia naszego najlepiej pojmowanego interesu narodowego. Prowadzi to, owszem, do pata w historycznych rozliczeniach. Co jest jednak istotniejsze: obowiązki związane z polityką historyczną czy wyzwanie współczesności?

Zgodnie z logiką narzekających na kapitulancję Polska powinna się podczas szczytu NATO w Wilnie wyrzec roli ambasadora ukraińskiego interesu. Po to, aby zmusić tym prezydenta Zelenskigo, żeby powiedział o Wołyniu coś, co nas zadowoli. Jednak licytacja na rzecz Ukrainy była tam powiązana ze wzmacnianiem gotowości NATO do obrony tak zwanej wschodniej

flanki. Nieskłony do pełnego zadowolenia Kijowa Zachód tym hojniej obdarowywał nas.

Poza wszystkim Ukraińcy są narodem upartym, dowiedli tego, stawiając twarde opór Rosji, kiedy nikt w ich konsekwencję nie wierzył. Możliwe, że z tym samym uporem będą bronić swoich mitów opartych na Stepianie Banderze. Nie nawołuję do tego, aby się z tym godzić na zawsze. Ale przekonanie, że wystarczy silniejsza wola Kaczyńskiego, Morawieckiego czy Dudy, aby oni zatańczyli tak, jak my im zagramy, wydaje się złudzeniem.

PiS, oskarżany nieustannie o zbyt głośne tupanie lub pobrękiwanie szabelką, staje się dyżurnym podsądnym w procesie o rzekome kapitulancie. Zabawne, że w roli prokuratorów występują także pozostałe partie. Przed rokiem 2015 to one (pomijam ludzi Konfederacji i trochę PSL) wzywały, aby się Wołyniem zbytnio nie przejmować. A dziś też nie oferują rządzącym konkretnej rady. Jedynie przekonanie, że wystarczy nacisnąć...

Oczywiście, można to rozumowanie odwrócić. Skoro jesteście nieraz przesadnie asertywni wobec Niemiec, Unii czy nawet Czech, dlaczego nie spróbujecie tego wobec Ukrainy? Tyle że wojna w dużej mierze zamknęła tu hipotetyczne pole manewru. Czy Ukraińcy to wiedzą, czy kierują się prostymi odruchami, trudno orzec, ale gdyby Polacy spróbowali nagle stanowczości wobec nich, byłiby samobójcami. O tym, że zwłaszcza ludziom o tradycyjnych poglądach swoisty targ z ofiarami współczesnych zbrodni powinien się wydawać obrzydliwy, już nawet nie wspominam. To, że „realiści” z „Do Rzeczy” tego nie pojmują, wiem od dawna. Ale inni?

Tylko cierpliwość

Nie jestem głuchy na argumenty tych, którzy przestrzegają, że dzisiejsza idealizacja naszych relacji z Kijowem dozna w przyszłości bezlitosnego testu. Że przekonamy się, jak mało warte są uściski polskich przywódców z Wołodymyrem Zelenskim. Już nie tylko w kontekście rozmowy o Wołyniu, ale współczesnych oczekiwań, choćby na otwarcie się odbudowywanej Ukrainy na polski kapitał.

Może tak, może nie. Zwracam jednak uwagę, że rozmowa toczy się w warunkach braku sensownego scenariusza zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nie warto dzielić skóry na niedźwiedziu, który przechadza się całkiem dziarsko. Odradzam to innym.

Cierpliwość – co nie znaczy wcale braku własnego zdania – może zaprocentować, ale może też nie za bardzo pomóc w odczytywaniu wspólnej historii. Ale nie widzę dla niej dziś sensownej alternatywy. /©©